

## Spór o patrona.

## Opowieść o chorzowskich hutnikach.

Była wiosna roku 1802. Na łagiewnickich polach, nieopodal Chorzowa poczęły dymić pierwsze piece huty „Królewskiej”. Rolnicy okolicznych wsi z niepokojem spozierali na chmury żółtawe brązowego pyłu, który dniem i nocą opadał na zieleniejące łąny zbóż.

nienawidzili w równej mierze budowniczych huty, jak tych, którzy pracowali przy jej piecach i kuźniach.

- Farańskie piekielniki, zatrują nam powietrze i wyjałowiają pola - mawiali i stąd ani jeden z pracowników huty nie znalazł kwatery w gospodarskim domu, nigdy dotąd nie spotkał się z życzliwym słowem ze strony rolników. Żyli odizolowani od tutejszej ludności - w swoich prowizorycznych domach noclegowych, czekając cierpliwie na wykończenie pierwszych domów robotniczego osiedla.

Nie udało im się nawet nawiązać serdeczniejszych kontaktów z liczną już wówczas w Chorzowie bracią górniczą, mimo, iż ci też nie cieszyli się sympatią gospodarzy.

W takiej to sytuacji rozeszła się w łagiewnikach, Chorzowie i Hajdukach wieść o tym, że w dniu 4 maja hutnicy obchodzić będą wielkie święto, bo obrali sobie patronem św. Floriana

- tego od ognia.

Zawrzało w świątku gospodarskim jak w ulu.

- Toć to kpiny i świętokradztwo - mawiali co zacniejsi gospodarze. - Sami ogień rozpalają, sami się nim od rana do nocy parają i właśnie owego niebiańskiego wroga tego żywiołu za - ohciewa im się na patrona.

Tak też przedstawili sprawę księdzu proboszczowi z Chorzowa, który w dniu 4 maja miał poświęcić hutniczy sztandar.

- Nie możemy dopuścić do tego, księżu proboszczu ! - apelował Józef Piwiorz, komendant ochotniczej straży pożarnej - św. Florian jest naszym, strażaków patronem i basta !

Będziwy proboszcz z zakłopotaniem zapalił swą ulubioną fajkę i zupełnie nieoczekiwanie zajął wręcz przeciwne stanowisko.

- Każdy ma prawo obrać sobie na patrona kogo tylko zechce, powiedział.- A z hutnikami to jeszcze inna sprawa: zamówili na 4 maja sumę z Te Deum, zamówili u bytomskich sióstr piękny sztandar z wizerunkiem św. Floriana i wszystko zapłacili z góry, dobrze zapłacili ! A parafia nasza biedna - westchnął - potrzebny jej każdy grosz.

- W takim razie ja, w imieniu strażaków zamawiam pierwszą mszę dnia 4 maja - zdecydował Józef - i też z Te Deum i ze specjalnym błogosławieństwem.

Uśmiechnął się ksiądz proboszcz i naturalnie przyjął zamówienie. Już następnego ranka dziarski komendant strażaków jeździł od wsi do wsi i apelował do swoich towarzyszy po fachu, by tegoroczne święto ich patrona obchodzić wspólnie w Chorzowie.

Solidarność towarzyszy spod znaku bosaka była zaskakująca: zarówno ci z Łagiewnik jak też z Świętochłowic, Hajduk, Dębu i Siemianowic, a nawet z odległego Mikołowa, zdecydowali się uczestniczyć w tej uroczystości i - w razie potrzeby - rozgromić procesję hutniczą.

Tak więc w dniu 4 maja 1802 roku na placu przed hutą „Królewską” zebrało się aż ~~pięć~~ pięć oddziałów ochotniczej straży pożarnej, a każdy z nich miał własną orkiestrę i sztandar.

Ha, serce się radowało, kiedy owe 250 chłopów w lśniących hełmach i odświętnie odkurzonych mundurach ruszyło w kierunku chorzowskiego kościoła ! Na samym czele pochodu



kroczył Józef Piwiorz z podkręconymi wusami i błyszczącymi od szczęścia i dumy oczyma. Za maszerującymi jechały wozy strażackie, rozdzwonione jak od pożaru tak, że dzwony i ręczne syreny alarmowe słychać było nawet w Bytomiu.

W półtora godziny później cały ten hałaśliwy korowód przewalał się tą samą drogą spowrotem.

Na skrzyżowaniu siemianowickiej i bytomskiej drogi Józef znalazł się oko w oko z dziarskim werkmeisterem Guentherem, który prowadził do kościoła pochód hutników.

Przez chwilę wydawało się, że teraz nastąpi coś strasznego: że strażacy wyciągną z za pasa swe toporki i rzucają się na szeregi tych, którzy ośmielili się na nowiuteńkim sztandarze wyszyć wizerunek ich odwiecznego orędownika. Stary werkmeister był jednak mniej wojowniczo nastrojony od dumnego komendanta straży: na milczący znak jego ręki brać hutnicza skromnie usunęła się na skraj drogi i ustąpiła miejsca swym rywalom.

Przybywszy na plac przed hutą, Józef Piwiorz ustawił strażaków w otwarty czworobok i wydał pierwsze rozkazy do rozpoczęcia pokazowych ćwiczeń strażackich.

- Przygotuj sprzęt ! - zabrzmiał jego donośny głos. Nim jednak ktokolwiek z jego podwładnych doskoczył do sikawek, zatrzymał ich przejmujący odgłos dzwonu alarmowego.

- Kamraci ! - zagrzmiął ponownie głos komendanta. / - Naszym świętym obowiązkiem jest gasić ogień tam, gdzie może być niebezpiecznym dla ich mienia. Taki właśnie ogień pali się tam za parkanem, ~~piż~~ w piecach huty.

Naprzód kamraci, ugaśmy go !

Stary portier hutniczy przy bramie nie stanowił żadnej przeszkody. Nie pomogły także interwencje drugiego werkmeistra,

pilnującego hutniczych pieców: zaledwie w minutę później na obudowę pieców lunęły pierwsze strumienie wody.

Na szczęście oba zaatakowane przez strażaków poecie, były puste. Z względu na święto nie sadzono ich, zadawala-  
jąc się jedynie utrzymaniem w nich odpowiedniej temperatury. W chwili, kiedy dzielny komendant zamierzał wstrzymać akcję, dzwon pożarowy odezwał się w Chorzowie, a w kilka sekund później także w Łagiewnikach.

- Gore ! - krzyknął ktoś, a tłum wielokrotnie ten okrzyk, żegnając się przezornie.

Komendant strażaków ani przez chwilę nie stracił zimnej krwi. Wydał odpowiedni rozkaz i w mgnieniu oka uformowały się dwie kolumny ratownicze, które co tchu w końskich piersiach pędzi-  
ły do Łagiewnik i Chorzowa.

Niestety: w jednej i drugiej wsi zastali już tylko zgliszcza i to zgliszcza własnych remiz strażackich, podpalonych w od-  
wecie przez hutników.

Mimo owych nieprzewidzianych „atrakcji” ani strażacy, ani hutnicy nie odstąpili od planowanych na ten dzień zabaw ludowych. Doszło wprawdzie tu i ówdzie do krótkich spięć, doszło nawet do pojedynczych bójek pomiędzy jednymi a drugimi, kiedy jednak generalny inspektor hutnictwa zaprosił strażaków i hutników na wspólną kolację, poczynają pękać pierwsze lody, niwelować się antagonizmy. 5 ton wyber-  
nego piwa dopełniło reszty i to tak gruntownie, że w końcu nie jeden hutnik wrócił do domu w strażackim hełmie, a nie-  
jeden strażak postanowił zgłosić się nazajutrz do pracy w hucie.

Tylko dziarski komendant straży zacny gospodarz Józef Piwierz z Chorzowa trzymał fason do końca.



- Chociażby mi codziennie ufundowali kolację i wykupali w piwie, nie wybaczą im tego dnia - odgrażał się publicznie. Nieborak wtedy nawet jeszcze nie przypuszczał, że zaledwie w miesiąc później wyda swą jedyną córkę za młodego hutnika, a w dodatku sprawi młodym weselisko jakiego Chorzów jeszcze nie widział.

G.Szędzielorz